



Art Audio to brytyjska manufaktura, specjalizująca się w produkcji sprzętu lampowego. Chętnie wykorzystuje triody mocy i unika jak ognia obrabianego aluminium, stawiając na stare dobre blachy stalowe. Dzięki temu wzmacniacze mogą się kojarzyć z tym lub owym, ale na pewno nie z Chinami.

■  
Wzmacniacz lampowy  
Art Audio Argento

Dystrybutor: Pełne Brzmienie  
Cena: 37300 zł

Dane techniczne

Typ: trioda SE  
Moc: 22 W  
Wejścia: 3 x RCA  
Odczepy: 4 i 8 omów  
Wymiary (w/s/g): 24/46/35 cm



# Art Audio Argento

■ Alek Rachwałd  
i Bartosz Luboń ■

Każde urządzenie już w chwili opuszczenia fabryki wygląda jak klasyk i bardzo przypomina lampowe maszyny, w których kochałem się w latach 90. ubiegłego wieku. Były wśród nich wczesne projekty Andrzeja Markówa, a także Audio Innovations i CR Development. Na tym jednak koniec wspominków, bo nostalgia mnie zadusi i nie napiszę recenzji.

Argento zaprojektowano w sposób prosty i typowy. Na froncie są dwie chromowane gałki: jedna to selektor źródeł, druga – regulacja głośności. Na górze widać dwie pary przepięknych lamp mocy, które, niestety, jak to 300B, prawie nie świecą. Mocniej żarzą się bańki w drugim rzędzie. Są to dwie pary podwójnych triod: 6H11P w stopniu wejściowym i 12BH7 w driverze – obie firmowane przez Art Audio. Za nimi mieszczą się wielkie klasyczne transformatory, osłonięte od góry chromowanymi pokrywami. Środkowy, zasilający, robi wrażenie rozmiarami. Nic dziwnego, że wzmacniacz musi nieść dwóch mężczyzn. Jeden nie dałby rady dźwignąć tylu blach.

Na tylnej ścianie mieszczą się trzy liniowe wejścia RCA, gniazdo zasilania z wyłącznikiem oraz zaciski głośnikowe z odczepami dla kolumn 4- i 8-omowych. Wejścia RCA są rozmieszczone symetrycznie, na przeciwległych skrajach urządzenia. Właściciele łączówek, w których żyły są złączone izolacją, wiele tu nie zwojują.

Same gniazda są solidne, srebrzone; szczególnie korzystne wrażenie robią masywne terminale głośnikowe. Niestety, tylna ścianka w ogóle nie jest opisana, co na początku może powodować pewne qui-pro-quo. Jednak po pewnym czasie udało mi się rozszyfrować, która

instalacja do czego służy i wzmacniacz zaczął mnie słuchać.

Urządzenie wyposażono w układ opóźnionego startu, oddzielnie dla obu kanałów. Gotowość do pracy sygnalizują dwie zielone diody na płycie wierzchniej. Kiedy się zapalą, sygnał pojawia się na wyjściach głośnikowych. Poza tym żadnych wodotrysków nie widać, chyba że zaliczyć do nich czujnik na przedniej ścianie, prawdopodobnie służący do odbioru komend pilota w wersji, która jest wyposażona w zmotoryzowany potencjometr głośności. Egzemplarz dostarczony do testu zdalnego sterowania nie miał na stanie.

Jako ciekawostkę warto dodać, że Argento można też kupić w wersji z zewnętrznym zasilaczem – drugą metalową skrzynią wielkości samego wzmacniacza. Ta luksusowa opcja jest cała zbudowana z chromowanych blach. Nasz wzmacniacz jest natomiast utrzymany w skromniejszych barwach, chrom ograniczając do gałek i pokryw transformatorów.

Ogólnie mówiąc: Argento to klasyczne, solidne i masywne urządzenie w technice lampowej, którego cechą wyróżniającą jest nietypowo wysoka moc z triod 300B.

Alek Rachwałd

## Opinia 1

### System

**Kolumny:** Avcon ARM

**Źródła cyfrowe:** Linn Karik III, Theta Jade, Tent Labs b-DAC

**Gramofon:** Ad Fontes/Origin Live Zephyr

**Wkładka:** ZYX R-100

**Przedwzmacniacz gramofonowy:**

ModWright SWP 9.0SE

**Wzmacniacz:** Sound Art Jazz

**Łączówki:** Argentum Silver RCA,

Velum NF-SX

**Przewód cyfrowy:** Stereovox

HDXV 75 Ohm

**Przewody głośnikowe:** Argentum 6/4

**Kondycjoner:** Enerr Point One

**Przewody zasilające:** Vovox Initio

Wież gminna niesie, że wzmacniacz single-ended, zbudowany w oparciu o triodę 300B, to musi być coś słabego, ale subtelnego do bólu. Często potwierdza się to w praktyce, lecz nie w tym przypadku. W postaci Argento mamy bowiem do czynienia z całkiem mocnym SET-em.

W każdym kanale pracuje para 300B, połączonych równolegle. Dzięki temu osiągnięto nominalną moc 22 W, czyli relatywnie dużo.

Kolumny, którymi dysponuję, należą do łatwych obciążeń: 90 dB skuteczności, przy linearyzowanej impedancji 6 omów, pozwala je wysterować nawet słabym piecykiem. Nie spodziewałem się więc klęski.

Argento nie miał najmniejszego kłopotu z poruszeniem moich skrzyń. Wszystkie Seasy wywijały, jak trzeba. Oczywiście, nie powinno się automatycznie przenosić takiego doświadczenia na wszystkie kolumny, ale fakt jest taki, że z dużymi, ale łatwymi do wysterowania monitorami Argento zagrał swobodnie. Byłem bardzo zadowolony z tonu i równowagi barw. Wzmacniacz brzmiał naturalnie, elegancko, chwilami przejmująco. Z dobrym źródłem, a miał do dyspozycji zarówno cyfrowe, jak i analogowe, pokazywał dużo muzyki, nie tracąc po drodze detali ani nastroju.

Składy kameralne wypadają dobrze, a niekiedy nawet rewelacyjnie. Nagrania L'Arpeggiaty zostały odtworzone zjawiskowo. Trudno się było oderwać od tej interpretacji. Również muzyka Bacha, w serii nagranej przez Tona Koopmana dla Erato, okazała się doskonałym doświadczeniem dla melomana. Było słychać nieco mniej bezkompromisowego ataku dłoni na klawesyn, a więcej

było. Nagrania orkiestrowe Beethovena, Haydna czy nawet koncerty fortepianowe Chopina to była poezja, choć z tych cywilizowanych, bez burzy z piorunami. Co ciekawe, wcale mi tej burzy nie brakowało, bo barwa i płynność dźwięku kompensowały takie drobne niedogodności.

W czasie testu przerzucałem płytę za płytą, nie tylko dlatego, że musia-

głównie na boki, z nieco słabszym poczuciem głębi.

Słuchając po raz kolejny tego urządzenia, zastanawiałem się, czy aby moje kolumny trochę go nie ograniczają. Owszem, to bardzo dobre monitory, ale Argento to też nie byle co i dodanie mu głośników za kilkadziesiąt tysięcy nie byłoby przesadą.

Wśród opcjonalnych zestawów na myśl pierwsze przyszły mi oczywiście Art Loudspeakers. Polski dystrybutor prowadzi obie te marki i przypuszczam, że zwykle słucha lampowych Artów na tych właśnie, lekkich i suchych membranach. To powinno grać spektakularnie, zwłaszcza że Art Loudspeakers mają zwykle silny i swobodny bas. Przy moich, bardzo konserwatywnie zestrojonych monitorach, Argento nie miał szansy rozwinąć skrzydeł. Następnym razem poproszę dystrybutora o parkę czegoś idealnie dobranego i wtedy pokazemy, co potrafi ludzka cywilizacja!

Na razie musicie się Państwo zadowolić stwierdzeniem, że to świet-

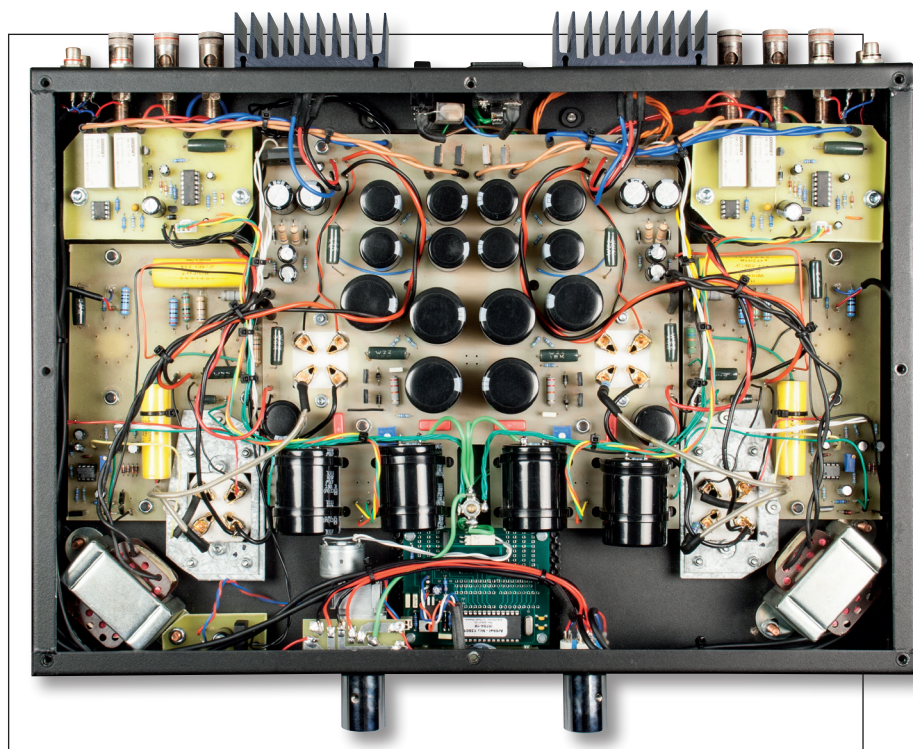


piękną brzmienia tego instrumentu. W porównaniu z moim hybrydowym behemotem, Art lekko upiększał, ale w granicach szerzej rozumianej neutralności.

Muzyka popowa i wokalne produkcje pań solo również prezentowały się co najmniej dobrze. Ani Jacintha, ani Blackmore's Night nie zostały skrzywdzone. To na pewno wzmacniacz do muzyki określanej jako „miła dla ucha”. Tutaj to pewniak. Pozostaje pytanie, jak poradzi sobie z muzyką mniej sympatyczną?

Utwory akustyczne Kazika Staszewskiego („Tata”) zabrzmiały, jak trzeba, ale to muzyka niemal klasyczna i brudny wokal nic tu nie zmieni. Jednak niektóre mniej uporządkowane nagrania tego artysty zostały odtworzone, paradoksalnie, zbyt sympatycznie. Wzmacniacz nieco złagodził pazur naszego narodowego barda. Niepotrzebnie, ale wciąż słuchało się z przyjemnością.

Z kolei na nagraniach symfonicznych stwierdziłem, że brakuje potęgi uderzenia. Argento jest bardzo elegancki, ale strzała z kopyta nie zafunduje, nawet gdy jest on niezbędny. Taka natura. Czy to znaczy, że nie było fajnie? Ależ



łem, ale również dlatego, że po prostu podobał mi się ten dźwięk. Przyjemny ten wzmacniacz, zwłaszcza że oprócz barwy uwagę przyciągają bardzo dobre, srebrzyście brzmiące szczegóły i niezła stereofonia, rozciągająca się

ny wzmacniacz, który nie pokazał jeszcze wszystkiego, na co go stać. Zaprezentował się w, powiedzmy, trzech czwartych, ale jedna czwarta mocy to nadal dużo...

Alek Rachwałd



**Opinia 2****System****Odtwarzacz:** Primare CD 32**Wzmacniacz:** Gryphon Callisto 2200**Kolumny:** Dynaudio Contour 1.8**Łączówka:** Sommer Cable XLR**Przewody głośnikowe:**

Nordost Red Dawn



Niespodzianka! Wzmacniacz lampowy, w dodatku trioda single-ended, która gra pełnym pasmem. Wbrew pozorom, nie jest to zjawisko tak częste, jak mogłoby się wydawać. Pod stereotypowym określeniem „magia lamp” kryją się na ogół dopieszczona średnica i szczególnie piękne wokale. Osieroczone skraje pasma pełnią natomiast głównie rolę towarzyszącą. Wielokrotnie słuchałem urządzeń strojonych według tej szkoły i za każdym razem trudno mi było ją zaakceptować. W końcu muzyka to pełne pasmo z zakresu słyszalnego, a urządzenie powinno je odtwarzać możliwie rzetelnie.

Na szczęście, angielski wzmacniacz nie powiela tego stereotypu. W nagraniach oper barokowych pojawił się sprężysty, pulsujący bas, który – choć nie był ani specjalnie szybki, ani konturowy – potrafił zejść nisko i wypełnić scenę przyjemnym, soczystym pomrukiem. Dół nie zniknął nawet przy mocnym skręceniu potencjometru w lewo. Przy niskich i bardzo niskich poziomach głośności wzmacniacz zachowywał równowagę tonalną, a bas pozostawał wyraźny.

Na przeciwległym krańcu pojawiły się wyekspozowane smyczki, których brzmienie nie było ani trochę przesłodzone lub zlągodzone.

W swojej dosadności Argento bardziej kojarzył mi się z mocną pentodą niż znacznie mniej wydajną triodą i podejrzewam, że w ślepym teście wskazałbym bez wahania tę pierwszą. Dzięki temu, że konstruktorom udało się wyciągnąć z czeskich lamp sporą moc, użytkownik nie będzie skazany wyłącznie na kolumny o wysokiej efektywności i łagodnym przebiegu impedancji.

swoje dobre i złe strony. Wzmacniacz z pewnością nie przetrzebi nam płytoteki, a czasem zamaskuje niedostatki gorzej nagranych płyt. Z drugiej strony, nie ma co liczyć, że symfonie Brahmsa czy Pendereckiego zabrzmiały jak na żywo, a muzycy orkiestry zmaterializują się w pokoju odsłuchowym. Próby zmierzenia się z takim repertuarem kończyły się na ogół niespecjalnie. Poszczególne plany orkiestrowe się zlewały. Dawało o sobie znać lampowe ocieplenie, które zamazywało szczegóły, a dość przeciętna dynami-



A co z legendarną triodową średnicą? Odsłuch nagranych przez Linn Records „Acisa i Galatei” Jerzego Fryderyka Haendla zaprezentował niemal trójwymiarowe głosy solistów. Ich precyzyjne ułożenie w przestrzeni to oczywiście zasługa inżynierów dźwięku Linna, ale aby odtworzyć ten efekt, potrzebny jest co najmniej dobry sprzęt grający. O ile jednak nie miałem najmniejszych zastrzeżeń co do wrażeń przestrzennych, o tyle czułem lekki niedosyt barw. Od lampy oczekuję w tej dziedzinie więcej, a tym razem wszystko było po prostu... zwyczajne. W głosach solistów zabrakło tej szczypty intymności i plastyczności, która potrafi sprawić, że zapominamy o sprzęcie, a zaczynamy chłonąć samą muzykę.

Całkiem przekonująco zabrzmiał za to duży, doskonale zgrany chór pod dyktando Paula McCreesha („Solomon”), choć w brzmieniu można było wyraźnie wyczuć lekkie ocieplenie i zaokrąglenie konturów.

Dalszy odsłuch coraz gęstszych i bardziej złożonych składów instrumentalnych ujawnił, że konstruktor Argento postawił bardziej na tak zwane „wrażenia ogólne” niż ekspozowanie szczegółów nagrań. Ma to oczywiście

ka sprawiała, że puls muzyki zwalniał. Jakby powiedziała królowa Wiktoria: „Nie zostaliśmy rozbawieni”.

Niepowodzenie na polu pancernej symfoniki sprawiło, że sięgnąłem po gatunek, który jest punktem obowiązkowym przy testowaniu każdego wzmacniacza lampowego – jazz. I stało się. Niebo się otworzyło, anieli zstąpili, a na ziemi niepodzielnie zapanowała muzyka synkopowana, którą karmiłem się przez kolejne wieczory. Fatalnie nagrana Shirley Horn odezwała się nagle żywym i namacalnym głosem. Podobnie gitara Joe Passa – pięknie zaokrąglona, z lekką chrypką i nasycona alikwotami. Tym razem wystarczyło zrobić nieco głośniej i przejść do drugiego pokoju, aby odnieść nieodparte wrażenie, że oto za ścianą przygrywa żywy gitarzysta. Włoski trębacz Enrico Rava – znów magia. Wyłaniające się z tła dźwięki instrumentu solowego, pulsująca sekcja rytmiczna, miękkość, muzykalność, głęboki, otulający bas...

Jeden z audiofilskich sklepów reklamował się kiedyś hasłem: „Żeby było przyjemnie”. Nie znajduję lepszego podsumowania dla charakteru brytyjskiego wzmacniacza.

Bartosz Luboń